TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50

DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 10. *Chicago, Ills., 3 Września, 1885 r.* **Rok II.**

JASKINIA POTĘPIEŃCA
POWIEŚĆ

— PRZEZ —

FR. XAW. TUCZYNSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Pani Miecznikowa z obawą spoglądała na ową postać. Tyle brzydoty, szkarady, nigdy nie zdarzyło jej się naraz oglądać, a potem widok tak straszny w miejscu, o którem tyle cudownych zachodziło powieści, napełnił jej imaginacyą strachami, że w końcu zdawało jej się naprawdę, iż patrzy na postać nadludzką. Odwróciła więc oczy ze wstrętem.

— Mówiłeś mężu przed chwilą, — zapytała nareszcie, — że to *ona*, cóż to za *ona?* Zkąd ją znasz?

— Widziałem tę osobę już kilka razy, — odpowiedział Miecznik pocierając ręką czoło, — ale długa to historya, za długa, aby ci ją teraz nawet w krótkości opowiedzieć. Zresztą nie pytaj, bo moja powieść tylko serce twoje jest zdolna zranić. Gdyby była dla ciebie, już dawno byłbym ci ją opowiedział. Tyle ci tylko nadmienię, że każde jej ukazanie się zawsze było dla mnie wróżbą nieszczęścia. Proszę cię więc nie pytaj mnie więcej.

To mówiąc, spojrzał znacząco na Stolnika. Zdaje się, że Stolnik rozumiał spojrzenie Miecznika, bo się zaraz odezwał:

— Pójdziemy zobaczyć głąb jaskini?

— A owszem, a owszem, miałem właśnie o to prosić, — odpowiedział szybko Miecznik, rad z okazyi, że uniknie dalszego badania żony co się tyczyło jego stosunku do staruszki. Zwróciwszy się do niej, dodał: — czyż i ty pójdziesz z nami?

Miecznikowa skinieniem głowy dała znak twierdzący.

Poszli więc, ale ledwo tylko kilkanaście

uszli kroków, inna całkiem scena zajęła ich uwagę, że już do jaskini nie doszli. Miecznik bowiem zapomniał całkiem o nieznajomym człowieku, który się w jego powozie znajdował, a przynajmniej sądził, że jeszcze śpi. Jakże się więc zdziwił, gdy się na jakiś niezwykły hałas obróciwszy, ujrzał cygana klęczącego przed staruszką.

I Stolnik się obejrzał.

— Ha! — zawołał — ten człowiek śmie stanąć przed memi oczyma?

Miecznik spojrzał nań ciekawie.

— Jakto śmie stanąć! — zapytał, — cóż to ma znaczyć? czyż go waszmość nie znasz?

— O znam! znam lepiej, aniżeli tego potrzeba! — wycedził Stolnik przez zęby.

Wzburzenie jego było tak widoczne, że nie uszło uwagi Miecznika. Spostrzegł on wyraźnie, że jakieś nieprzyjemne uczucie owładło Stolnikiem — zaczerwienił się bowiem aż do siności, zęby zaciął, a prawą ręką ściskał rękojeść karabeli.

— Waszmość panie Stolniku coś nie łaskaw jesteś na twego dobroczyńcę, — rzekł po chwili Miecznik trzęsąc głową.

Stolnik się zadziwił, bo sądził, że Miecznik mówił o wybawieniu Celiny, a nie mógł dotąd przypuścić, aby wieść o tem doszła już do Jabłowa. Rzekł tedy z wielkiem zadziwieniem:

— Więc już waszmość wiesz?...

Tu się znów Miecznik zadziwił.

— A jakże nie mam wiedzieć, — odpowiedział, — czyż nie byłem przytomny jak niedźwiedź zahaczył pazurą tak twoją jak i moją czuprynę, a on tym moim kordelasem przebiwszy maruchę, nas wybawił od śmierci?

Stolnik schwycił się oburącz za głowę.

— Na rany Chrystusa!... — wyjęknął — czyby?... ale nie!... waszmości coś się zdaje.

— Wcale mi się nie zdaje, to jest ten sam, który nas od niechybnej śmierci uratował, gdyśmy zajęci potoczną w lesie rozmową, nie uważali, co się około nas działo.

— To ten cygan...

— Niech będzie i cygan, — przerwał mu Miecznik, — jednakże jest to ten sam, który nam życie uratował, eo ipso winniśmy mu wdzięczność, którą z mej strony ma solenniter zapewnioną.

Stolnik stał przez czas niejakiś jak skamieniały. Wpatrzył się mocno w cygana, potarł kilka razy ręką czoło, a potem schwyciwszy Miecznika za rękę, uścisnął konwulsyjnie i rzekł:

— Nie wiem zaiste, gdzie miałem oczy tak długo. Poznaję, to ten sam!... Jednakże dłużej przebywać tutaj mu nie pozwalam!

— A to czemu?—zapytał zdziwiony Miecznik.

— Nie pytaj mnie o to teraz, panie Mieczniku, zaklinam na Boga żywego, nie pytaj. Może sam to później opowiem. Teraz niech mi się z oczu namyka; — dodał z coraz wzrastającym gniewem.

Miecznikowa z podziwieniem patrzała na Stolnika a Miecznik rzekł:

— Przystąpmy bliżej, zobaczymy co się tam dzieje.

Na te słowa Miecznikowa, Miecznik i Stolnik przybliżyli się do miejsca, które wszyscy zgromadzeni kołem otaczali. Cygan klęczał przy nieruchomej staruszce, tarł i chuchał w jej ręce i co chwila z płaczem wykrzykiwał, zapominając o otaczającej go gawiedzi:

— Moja matko, moja matko! nie umieraj, nie opuszczaj mnie!

— To jego matka? — rzekł do siebie Miecznik zdziwiony.

— To jego matka? — powtórzył Stolnik.

— To jego matka? — szeptała gawiedź.

Cygan jednak wcale na to nie uważał.

Stolnik tymczasem wpatrzył się w cygana. Był bez czapki, włosy miał w straszliwym nieładzie, a odzież okryta śladami zaschłej krwi, miała prócz tego świeże plamy szlamu, a przytem była mokra. Strasznie ów człowiek wyglądał.

— Zkąd on się tu wziął? — zapytał Stolnik zwracając się do Miecznika.

— Zkąd? — odpowiedział Miecznik, — ja go ze sobą przywiozłem.

— Waszmość? waszmość żartujesz sobie ze mnie.

— Bynajmniej! przywiozłem go ze sobą!— potwierdził jeszcze raz Miecznik.

— Ale gdzie go waszmość złapałeś?

— Wyratowałem go z wody.

— Z wody?... — wykrzyknął Stolnik i głos zamarł mu w piersi, dopiero po chwili dodał: — wyratowałeś z wody? jakto?

— Przed godziną, — odpowiedział Miecznik, — chciał popełnić samobójstwo. Szczę-

ściem widziałem go wskakującego we wodę i udało mi się jeszcze żywego wydobyć.

Wieść ta wywarła na Stolniku niemałe wrażenie. Osłupiały patrzał na Miecznika z otwartemi ustami, jakby nie mógł tego pojąć, co słyszał. W sumieniu swojem uczuł jakieś kłucie, jakiś głos mówił do niego niesłyszalnie, że to on okrutnem obejściem się z cyganem spowodował go do samobójstwa. Gdyby był go powiesił, nie byłby może uczuł żadnych wyrzutów sumienia, ale że ktoś dla niego sam sobie życie odbiera, dotknęło go boleśnie. Chciał więc Miecznikowi coś mówić nakształt tłomaczenia się, ale inna scena nietylko przeszkodziła mu, ale i owo uczucie z serca wyrugowała.

Cygan, który dotychczas tylko staruszką zajęty, na nikogo zdawał się nie uważać, przybiegł nagle i padł na kolana przed Miecznikiem i Stolnikiem.

— Przez miłość tego Boga, — wykrzyknął rozpaczliwie, — który stworzył świat i wszystkich ludzi, zaklinam was panowie, ratujcie moją matkę... patrzcie, ona umiera!

Miecznik spojrzał na staruszkę... wzrok jego padł znowu na owo złowrogie oblicze... wzdrygnął się mimowolnie. Stolnik zaś, którego sam widok cygana pobudził do gniewu, zdawał się go wcale nie słyszeć; tylko Miecznikowa spojrzała na klęczącego ze współczuciem.

— Nie bój się, poczciwy człowieku! — rzekła łagodnie, — będziemy mieli staranie o twojej matce.

Zwróciwszy się zaś do Stolnika, dodała:

— Nie wątpię, że pozwolisz nam, panie Stolniku, zawieźć ową nieszczęśliwą do twego zamku. Tam może znalezie się jaka rada, jeśli jeszcze jaka rada będzie możebną.

Stolnik skłonił się i rzekł:

— Owszem, pani Dobrodziejko!

Ale to takim tonem, jakby był chciał powiedzieć: niech djabli wezmą przeklętą babę wraz z jej cyganem.

Miecznikowa na to nie uważała, a cygan rzucił się jak długi do stóp Stolnika, aby je ucałować, ale Stolnik szybko się w tył cofnął. Zawołał jednak służbę i rozkazał, aby zrobiono nosze i zaniesiono staruszkę na zamek.

Stało się jak rozkazał i niedługo orszak ruszył ku zamkowi. Cygan nie opuścił matki, ale szedł obok, trzymając ją ciągle za rękę.

Stolnik siadł do powozu Miecznika. Czas niejakiś nikt słowa nie przemówił, dopiero Stolnik odkrząknąwszy, zaczął:

— Waszmość, panie Mieczniku, zapewne dziwisz się memu postępowaniu względem cygana.

— Rzeczywiście, — odrzekł Miecznik, — nie mogąc sobie tego wytłumaczyć.

— Jeszcze więcej zadziwisz się, — ciągnął dalej Stolnik, — gdy się dowiesz, że ów cygan uratował moją córkę od śmierci.

— Ach! — zawołała zdziwiona Miecznikowa.

— Zasługuje na tem większą wdzięczność waszmości! — dodał Miecznik poważnie.

— Jak się to stało? — zapytała Miecznikowa.

Stolnik opowiedział wiernie poświęcenie się bochaterskie cygana, gdy rozhukane konie z narażeniem własnego życia zatrzymał nad urwiskiem.

— To szlachetnie! — rzekła Miecznikowa z uniesieniem.

— Niepospolity człowiek! — dodał Miecznik, — jak widzę, on tylko dobrze czynić potrafi. Ale cóż się dalej stało?

Stolnik znów opowiadał aż do chwili, kiedy cygan odrzuciwszy nagrodę, wieczorem *dobrowolnie* zamek opuścił. Nie zataił i tego, że to oddalenie się wywarło nań dobre wrażenie, że swego postępku bardzo żałował i że właściwie Cześnikiewicz myśl oddalenia cygana pierwszy poruszył.

— Jeszcze raz powtarzam, — rzekł Miecznik, — że to niepospolity człowiek. Potrzeba mu tylko innego wykształcenia i innego stanowiska, a mógłby zostać sławniejszym, aniżeli inny urodzony w pałacu i wychowany w Paryżu.

Stolnik milczał. Znać było po nim, że chciał coś mówić, ale albo się wachał, albo się obawiał. Wreszcie jakby się namyślił, machnął ręką i rzekł półgłosem: niech tak będzie!

— A co? — zapytał Miecznik.

— Opowiem państwu zaraz teraz, — rzekł Stolnik — bo pewnie i tak dowiedzielibyście się później o tem. Zapewne się zdziwisz panie sąsiedzie, i nie będziesz mógł uwierzyć, a jednak to, co powiem, jest rzeczywistym faktem. Wytłumaczycie sobie państwo zarazem moje postępowanie. Oto słuchajcie: ów cygan zakochał się

w mej córce, a co gorsza, moja córka zakochała się nawzajem w cyganie!...

Miecznik i Miecznikowa spojrzeli na niego takim wzrokiem, jak gdyby chcieli się przekonać, czy czasem nie cierpi na pomięszanie zmysłów. Zrozumiał też to spojrzenie Stolnik dla tego zaraz dodał:

— Wszakże mówiłem, że mi nie uwierzycie.

— Wolne żarty, panie Stolniku! — rzekł na to Miecznik.

— Pod słońcem tego nie bywało, — dodała Miecznikowa, — dla tego uważamy powieść pana Stolnika za żart.

— Sam cieszyłbym się, gdybym był mógł to powiedzieć żartem, — odpowiedział Stolnik smętnym głosem, ale na własne oczy i uszy się przekonałem.

— Tak? — zawołała Miecznikowa przeciągle z widocznem niedowierzaniem.

— Tak, tak, niestety! — potwierdził Stolnik.

Zaczął więc rzetelnie opowiadać wszystko co widział i słyszał. Nie zamilczał żadnego szczegółu, ani nawet tego, że uniesiony gniewem, kazał cygana powiesić, tylko Celina odwiodła go od tego, grożąc, że sobie sztyletem życie odbierze.

Miecznikowie zamyślili się.

Miecznik uważając całą tę awanturę za obrazę honoru Stolnika, oddawał mu w duszy słuszność, gdy tymczasem Miecznikowa, z natury łagodna i uczuciowa, uważała jego postępek za okrutny i srogi. Żadne jednak ze zdaniem swojem się nie odezwało.

— I cóż teraz? — zapytał w końcu Miecznik.

Stolnik wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że nie wie.

— A cóż teraz Celina? — zapytała Miecznikowa.

— Moja córka — odpowiedział Stolnik — wybrała to, co w tym przypadku sam byłbym jej doradził: pójdzie do klasztoru. Wyboru zresztą innego nie ma.

Nic na to nie odpowiedziała Miecznikowa, tylko westchnęła, a Miecznik potarłszy ręką czoło, rzekł:

— Szanowny panie Stolniku, dziwną powieść nam powiedziałeś. Gdyby wdzięczność dla cygana nie wiązała nas, sam zaproponowałbym stryczek dla niego, jednakże dla względów czynić tego nie można. Oto mam projekt jak pozbyć się cygana, a jednak okazać mu wdzięczność za jego czyn. Złożymy mu sumę stósowną, wywieziemy do Prus lub Francyi i tam niech szuka szczęścia. Inaczej zdaniem mojem pozbyć się go nie można.

— Waszmość dobrze radzisz, — odpowiedział Stolnik po chwili namysłu, — słusznie! wywieźć go, aby w świecie szczęścia poszukał. Jeszcze dzisiaj dam stósowne rozporządzenia. Ale biada mu, jeśli jeszcze raz ukaże się w tej stronie! Jak mi Bóg miłym, już cygana szczędzić nie będę!

— Panowie zawsze mówicie o nim, jako o cyganie... czyż on rzeczywiście cygan? — zapytała Miecznikowa.

— Mojem zdaniem było zawsze, — odpowiedział Stolnik, — że on nie jest cyganem; tymczasem sam córce mojej wyznał, że nim jest. Trudno zatem temu nie uwierzyć.

— Twarz jego nie cygańska, — rzekła Miecznikowa, ma on raczej bardzo szlachetne rysy. Podoba mi się bardzo ta jego smętna, wyrazista twarz, a nawet mi znajoma, ale nie wiem zkąd, bo sobie nie przypominam, abym tego człowieka w życiu kiedy widziała.

W tej chwili trzask z bicza dał znać, że zajechali przed zamek, dla tego rozmowa w tej materyi ustała.

Kiedy weszli na pokoje, zastali prócz pani domu, jeszcze lekarza, którego Stolnikowa kazała dla córki natychmiast przywieźć, gdyż się obawiała, aby zbyteczna alteracya nie wywarła na jej nerwy zgubnego wpływu.

— Dobrze, bardzo dobrze, że pana doktora tu zastajemy, — rzekł z humorem Stolnik, — mamy właśnie pacyentkę.

Tu opowiedział o przygodzie przy jaskini.

— Pst! — szepnęła Stolnikowa ze znaczącem spojrzeniem na męża.

— Już państwo Miecznikowie o wszystkiem wiedzą, — odrzekł Stolnik, — sam im o tem powiadałem. Niech tylko Celina nie wie, że ten łotr znów się tutaj znajduje... A otóż i oni!

Na te słowa wszyscy pobiegli do okna. Kondukt niby żałobny wchodził w bramę. Czterech ludzi niosło na prędce zrobione nosze, na których leżała owa postać znaleziona w jaskini, cygan kroczył obok, a za nim mnóstwo ludu ciekawego rozwiązania zagadki.

Stolnik zeszedłszy z innymi na dziedziniec, kazał staruszkę zanieść do oficyny i tutaj zło-

żono ją na łożu. Przytomni ustawili się obok łoża tak, że Miecznik i Stolnik stanęli przy nogach, Miecznikowa zaś i Stolnikowa stanęły w głowach na ten sposób, że mogły dokładnie staruszkę widzieć, kiedy ta, gdyby mogła patrzeć, ujrzeć ich nie była zdolna. Cygan ukląkł obok łoża.

Lekarz przybliżył się, schwycił za puls, ale nic nie mówił, ani z twarzy jego poznać nie było można, jakie zdanie miał o życiu staruszki. Dopiero po niejakim czasie rzekł stanowczo:

— Żyje!

Przyłożył jej potem flakonik do nosa, a niedługo też staruszka otworzyła oczy. Wzrok jej padł najprzód na klęczącego obok niej cygana. Chciała coś mówić, ale nie mogła, tylko wargami ruszała.

— Żyjesz więc matko! żyjesz! — wołał cygan w uniesieniu ze łzami.

Staruszka jeszcze nic nie mówiła, tylko ściągnęła rękę i położyła ją, jakby błogosławiąc, na głowie cygana, który ją pochwycił i konwulsyjnie do ust przycisnął.

— O! żyjesz matko! żyjesz matko Zinguro! — wykrzyknął cygan powtórnie.

— Dobry Muringo! — wyszeptała stara.

Nagle jej oczy spoczęły na twarzy Miecznika. Staruszka z wyrazem przestrachu podniosła rękę i zasłoniła nią oczy, jakby się obawiała jakiego widziadła. Po chwili odjęła rękę i niemo wpatrywała się w sufit komnaty.

Miecznik tymczasem skinął na lekarza i zapytał go, czy chora może odpowiadać. Lekarz jeszcze raz zbadawszy jej puls, skinął głową na znak, że chora jest przy zmysłach i odpowiednich siłach.

Przybliżył się więc Miecznik jeszcze bardziej i rzekł:

— Znasz mnie, stara?

Zapytana zwróciła na niego swe oczy i po chwili wyszeptała:

— Znam!

— A zkąd mnie znasz? — pytał dalej Miecznik.

Staruszka, czyli jak już wiemy, Zingura, nie zaraz odpowiedziała, ale, ile się zdawało, zbierała myśli przez czas niejakiś, dopiero po namyśle rzekła głosem cokolwiek mocniejszym, niż pierwszą razą...

— Ten sam, który mnie chciał zabić.

— Ja?!... zabić?!... — wykrzyknął Miecznik.

Zingura znowu nic nie odpowiedziała, tylko starała się wesprzeć rękami, aby się unieść na łożu, ale siły jej były za słabe. Dojrzał to Miecznik, dla tego rzekł tonem łagodnym:

— Nie podnoś się stara, jeśli chcesz co powiedzieć, to powiedz leżąc... Więc kiedy to chciałem cię zabić?...

Zingura chwilę milczała, a potem zaczęła mówić głosem słabym, ale wyraźnym, często przerywanym.

— Gdy mam mówić, będę mówiła... Śmierć się zbliża... nikomu nic nie winnam, mogę więc mówić śmiało... Pójdź synu! niech, gdy umieram, moja ręka spocznie na twej głowie. Posłuchaj twej matki, która cię kochała bardziej, aniżeli samą siebie.

Muringo z płaczem uchwycił dłoń staruszki i przycisnął ją do ust.

Dziwny to był widok, gdy słaba, brzydka Zingura wyschłą rękę, podobniejszą do szpony ptaka, aniżeli do ręki ludzkiej, położyła na głowie silnie zbudowanego Muringa. I sam Muringo w odzieży najdziwaczniejszej w świecie, okrytej plamami krwawemi i oszlamionej, niezwykły przedstawiał widok. Obie te postacie tak oryginalny przedstawiały obraz, o jakim żaden malarz może jeszcze nie śnił.

Zingura przez kilka minut trzymała swą rękę na głowie syna, oczy wzniosła do góry, a ustami ruszała, jakby się modliła i z niebios wzywała dla niego błogosławieństwa. Nareszcie opuściła rękę i rzekła:

— Teraz będę mówiła... ręka koścista śmierci już mnie chwyta... słuchajcie!

Tu ciężko odetchnęła i zaczęła swoję powieść.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

BAŚNIE.

ZACZAROWANE PĄCZKI.

(Dokończenie.)

Tak wyszedł Kazimierz z tego domu lekko i próżno, bez zawiniątka i laski. Cały świat stał dla niego otworem i mógł się udać w którą chciał stronę. Czuł większy jeszcze głód, niż zwykle, bo majstrowa, zajęta przysposobieniami do poobiedniej uczty, nie miała czasu dać mu śniadania.

Biedny wygnaniec usiadł wielce stroskany na kamieniu po nad drogą. W tem usłyszał śliczny śpiew, i zaleciał go miły zapach świeżych pączków. Nie wierzył własnym swoim oczom, gdy ujrzał w powietrzu niezliczone mnóstwo latających pączków, które tak blisko nad nim były, iż mógł złapać ręką ile się podobało. Jeden z nich, który zdawał się przewodzić drugim i miał złote skrzydełka, przemówił do niego w słowach, które jeszcze większy apetyt w nim wzbudziły. Sięgał po pączki i zjadał jeden po drugim. Miał wielką ochotę złapać tego ze złotemi skrzydełkami, ale ten umykał się zręcznie i szybko. Wszystek kłopot znikł był. Nikt w całym świecie nie miał weselszych zapust od niego. Teraz udał się w dalszą drogę. Idąc tańcował z radości, bo pączki niby ciemna chmura towarzyszyły mu w podróży. Ich liczba wzmagała się coraz bardziej, bo gdzie przechodzili, wszędzie pączki z innych domów uciekały kominami i łączyły się do nich. Te, które schowane w śpiżarniach nie mogły uciekać tą drogą, wybijały szyby i dążyły przez okna do swych towarzyszy. Najbogatsi książęta i królowie zdawali się teraz biednymi Kazimierzowi, bo żaden z nich nie miał pączków w takiej jak on obfitości. Najbardziej dziwiło go jednakże, iż pączki tak były ciepłe i pulchne, jak gdyby dopiero co z tygla wyjęte.

Teraz przybył nasz wędrowiec do gęstego lasu. Chmura pączków rozdzieliła się na kilka oddziałów, które nad wierzchołkami drzew latały. Jedna tylko część pozostała w pobliżu, i z wielką uciechą spostrzegł Kazimierz pączek z skrzydełkami tuż około siebie. Chciał go schwycić, lecz ten wymknął mu się i rzekł: „Daj mi pokój zuchwalcze; gdybyś mnie schwycił, rozpierzchły by się wszystkie pączki. Dopókąd ja wolny jestem, możesz liczyć na to, że każdego czasu na twe usługi będziemy. Słuchaj uważnie co ci powiem. Za lasem napotkasz owczarza, co pasie owce na zmarzłej oziminie. Staraj się wziąść mu sznurek, który ma w torbie owczarskiej, i obwiąż go sobie koło pasa na gołem ciele. Schowaj dobrze i strzeż się, by go kto nie zobaczył! bo twoje życie zawisło od tego. Dopókąd posiadać będziesz ten powróz, nie zaszkodzi ci miecz, sztylet i strzała."

Kazimierz wyszedł z boru; wszystkie oddziały pączków zebrały się około niego. Owczarz, który w istocie pasł owce za borem, zadziwił się niemało, ujrzawszy czarną chmurę pędzącą ku niemu z za lasa. Prześliczny zapach pączków wprawił go w zachwycenie. Z wielkiego podziwienia otworzył szeroko gębę, a pączki tak mu w nię spiesznie leciały, że się ledwo nie udusił niemi. Kazimierz tymczasem wydobył mu z torby zaczarowany sznurek. Był on biały jak kryształ, ten to sam, na którym jego nieszczęśliwa matka spuściła się z wieży. Uczynił, jak mu zaczarowany pączek doradził, a obwiązawszy sznurek około pasa, uczuł natychmiast, iż siły jego wzmagały się i zimno przestało mu dokuczać.

Po kilku dniach przybył z gromadą pączków do pięknego pałacu. Wszyscy mieszkańcy zbiegli się na tak niezwykłe widowisko; wszystkie okna otworzyły się same przez się, i niezmierne mnóstwo pączków pousadzało się na stole. Wszyscy podziwiali smak i świeżość tych cudownych gości, i nie mogli się nasycić niemi. Reszta pączków pozostała w poblizkim lesie, lecz skoro Kazimierz dostał na nie apetyt, były mu zaraz przy ręku. Potrzebował tylko zawołać

„pójdźcie do mnie pączki moje", a natychmiast cała ich chmara obstąpiła go dokoła.

Pan zamku, w którym się Kazimierz znajdował, nie był to kto inny, jak Hardosz. Powitał chłopca uprzejmie, ale księżna przypatrywała mu się badawczo i z wielką niespokojnością, bo miał wielkie podobieństwo z jej krewną, księżną Wiesławą. I Hardoszowi nie uszło to. Kazimierz był ściśle badany, przez co się mniemanie to potwierdziło.

On nieborak nie przeczuwał, w jakim znajduje się ręku, a że był w okazałym tym zamku przyjęty bardzo gościnnie, zapomniał nawet o swoich pączkach. Pobawiwszy tam dni kilka, uważał, że wszystkie jego kroki i ruchy były śledzone przez dworaków i sługi. Dawniejszy paź księżnej Wiesławy przybył na dwór Hardosza i ujrzawszy Kazimierza, zawołał: „Przysiągłbym, że to syn księżnej Wiesławy, bo większego podobieństwa nie może być na świecie".

Hardoszowi i księżnie bardzo się to nie podobało, że ich ludzie domyślali się czego, i starali się odwieść ich od tego mniemania. Kazimierz dostał surowy rozkaz, by na wszystkie zapytania odpowiadał, iż jest synem szewca Smolewicza.

Smaczne pączki, które przez Kazimierza mieli zawsze na zawołanie, uczyniły go księżnie i Hardoszowi niezbędnie potrzebnym. Ostatniemu nic odtąd nie smakowało, żył tylko samemi cudownemi pączkami.

Raz gdy wieczorem Hardosz z małżonką siedzieli sobie w pokoju i rozważali nad tem, jakie niebezpieczeństwo im grozi, gdy Kazimierz dorośnie i dowie się, iż jest synem Wiesławy. Obawa, stracenia przez niego pięknej posiadłości, przemogła wreszcie łakomstwo, i przedsięwzięli sprzątnąć chłopca ze świata. Księżna sama zarobiła trochę pączków, wsypała w nie trucizny i usmażyła je w końskim tłuszczu. Uważała, że Kazimierz miał zawsze w swoim pokoju na złotej deseczce kilka pączków w zapasie. Więc podczas nocy, kiedy Kazimierz spał mocno, przemieniła pączki, spodziewając się dobrego skutku swej zbrodni. Chłopiec obudziwszy się chciał sięgnąć po pączek na śniadanie, gdy w tem pękła kryształowa szyba w oknie z takim trzaskiem, że wszystko w pokoju zadrżało. Był to ów pączek ze złotemi skrzydłami, który wpadł oknem do pokoju i zawołał: „Nie ruszaj ich Kazimierzu, bo one zatrute".

W okamgnieniu przybyło mnóstwo prześlicznych pączków przez okno. Jeden z nich upadł niby kamień z wielkim łoskotem na podłogę; deska na której leżał, podniosła się do góry, zatrute pączki pokulały się pod nią, a trzy wielkie szczury ukazały się z pod podłogi i zjadły je smacznie. Potem deska zapadła i wszystko znów było jak pierwej.

Wkrótce potem przyszli Hardosz i księżna do pokoju, by widzieć czy trucizna skutkowała. Lecz jakże się zadziwili, gdy chłopiec opowiedział co zaszło. Księżna i mąż wyciągnęli puginały, by go zamordować i pozbyć go się tym sposobem, lecz żadne ugodzenie nie szkodziło mu, bo zaczarowany sznurek czynił go nieśmiertelnym.

Hardosz więc kazał mu związać ręce i nogi, włożyć go na wóz i usiadł z dwoma z swoich ludzi obok niego. Zatrzymano się przed wieżą po nad Gopłem, w której niegdyś matka Kazimierza więzioną była i gorzkie łzy lała, wprowadzono go na najwyższe piętro i ztąd wrzucono go w wodę. Tutaj musiało skończyć się życie jego, bo w tem miejscu było jezioro bezdennie głębokie. Spadając zdawało mu się, iż skrzydła dostał na ramionach, i lekko i szybko przeleciał na nich na drugą stronę jeziora. Hardosz i jego słudzy patrzeli za nim w osłupieniu i nie mogli pojąć co się z Kazimierza zrobiło. Hardosz gniewał się sam na siebie o swój pomysł i wydał surowy rozkaz do wszystkich ludzi z okolicy, by mu dostawili zbiegłego chłopca. Kazimierz leżał tymczasem na miękkiej murawie na brzegu jeziora i nie wiedział, jak się z swych więzów uwolnić. Oglądał się na wszystkie strony i spostrzegł, że kryształowy sznurek w formie skrzydeł rozszerzony był na obudwóch jego ramionach. Potem odpięły się skrzydła same przez się, sznurek wyprężył się i był tak ostrym na końcach, że poprzerzynał powrozy, które krępowały członki Kazimierza, i nakoniec zwinął się niby wąż w pierścienie i leżał cicho obok niego. Przy tych poruszeniach sznurka uczuł Kazimierz, iż się skóra na jego twarzy przemijała, spostrzegł nawet, że kolor jego ubioru inaczej wyglądał. Spojrzawszy w jezioro ujrzał się w zupełnie innej postaci, z czego się bardzo ucieszył, bo mógł być przez to bezpiecznym przed ściganiem Hardosza. Ale kryształowego sznurka przestraszył się tak bardzo dla jego czarowniczych własności, że go zostawił na murawie

i uciekł spieszno. Żaledwie uszedł kawałek drogi, gdy napotkał Hardosza z wielką gromadą ludzi, który go zapytał, czy nie widział chłopca jakiego nad brzegami jeziora. Odpowiedział śmiało, że nie widział, i szedł dalej ciesząc się nie mało, że nie został poznanym. Postanowił zachować dalej przed każdym najgłębsze milczenie o tem, co go spotkało, by się przez to nie zdradzić, i nawet pączków zwoływać tylko w największej potrzebie.

Rozważywszy wszystko uważniej, żałował mocno, iż nie zabrał ze sobą cudownego sznurka. Wrócił się nawet na miejsce, gdzie go zostawił, lecz go już tam nie było.

Wkrótce przybył do chatki rybaka, w której skromna, pobożna mieszkała rodzina. Na jego usilne prośby przyjęto go jako pomocnika za mierną zapłatę. Przez pilność i posłuszeństwo uzyskał sobie wkrótce przychylność całej rodziny, ale chociaż niejeden wieczór spędził z nimi na pogadance, nie wspomniał jednak nigdy o przygodach, które go spotkały.

Jednego dnia przybył rybak bardzo ucieszony do domu. „Dzieci", rzekł, „znalazłem coś po nad Gopłem, co mi może wielką przynieść nagrodę. Patrzcie, oto ten sam sznurek, na którym się niegdyś nieszczęśliwa księżna Wiesława spuściła z wieży, by ocalić życie. Księżna Wacławowa, małżonka Hardosza, obiecała niezmierną nagrodę temu, kto jej ten sznurek przyniesie, lecz dotąd wszelkie poszukiwania były daremne. Hardosz nie zna w prawdzie teraz swego krewnego Korbalewicza, lecz ja się też nie potrzebuję troszczyć o niego, bo mam co mi potrzeba. Sznurek oddam jego żonie, a z nim nie zobaczę się wcale.

Kazimierz słuchał słów z bólem serca. Myśl, iż nie był powinien pozbywać się tego skarbu, kłopotała go mocno. Upadł do nóg swemu panu i wyznał, iż sznurek ten do niego należy i że życie jego zawisło od tego.

Rybak prosił go, by mu opowiedział otwarcie zdarzenie swego życia, a gdy mu przyrzekł, iż zachowa tajemnicę, Kazimierz odkrył wszystko. Na przekonanie, iż mówi prawdę, zawołał: „pójdźcie do mnie pączki moje!" a natychmiast śliczne świeżuchne pączki w niezmiernych chmarach zaczęły się zlatywać przez drzwi i okna.

Rybak i rybaczka nie wiedzieli co począć z radości. Cała rodzina ponowiła solenne przyrzeczenie niewydawania jego tajemnicy, on zaś w nagrodę obiecał częstować ich codziennie świeżemi pączkami.

Gdy które z dzieci chciało się pochwalić jak piękne u nich pączki, Kazimierz potrzebował tylko mrugnąć na nie, a zaraz umilkło. Rybak Korbalewicz domyślał się z tego wszystkiego, co mu Kazimierz powiedział, iż on jest synem nieszczęśliwej Wiesławy; lecz nie śmiał się z tem odezwać.

Sznurek był odtąd w ręku Kazimierza, który go przywiązał do wędki i tyle ryb nią łowił, iż ich rybak nie zdążył sprzedawać.

Jednego dnia było tak cicho na dworze, iż się ani listek na drzewie nie ruszył. Kazimierz łowił w Gople dzień cały, lecz na wielkie zadziwienie pana swego nic nie złapał. Nakoniec kazał mu tenże poprzestać na dzisiaj. W tem wędka zachwiała się i ogromna ryba osobliwej postaci przyczepiła się do niej. Nie było podobno wyciągnąć wędką tej pięknej zdobyczy, więc rybak przybył z siecią do pomocy. Nie potrzebował się bardzo umęczyć, bo ryba nie rzucała się wcale, lecz dała się jak najspokojniej na brzeg wysadzić. Rybak przeżegnał się, kręcił głową i mruczał niezrozumiałe słowa, przypatrując się rybie.

Była ona jasnoniebieskiego koloru, z złotemi skrzelami i czarnemi oczyma. „Takiej ryby", mówił Korbalewicz, „nie znalazłby na całym świecie. Zaniosę ją na dwór książęcy, a zapewne wielką dostanę zapłatę".

Włożył ją w wielką wannę i zawiózł na taczkach do zamku Hardosza. Gdy jej tam kupić nie chciano, woził ją po wszystkich wsiach w sąsiedztwie, lecz każdy żegnał się przed tem osobliwem stworzeniem. Wreszcie powrócił z nią do domu i rzekł do żony: „Ja się tej ryby jeść nie boję; sprawię ją, pokraję w kawały, nasolę i będę miał kilkanaście razy na śniadanie".

Rybaczka wzięła noża, i zaczęła skrobać łuszczki, lecz o dziwy! łuszczki opadły nagle gdyby skóra i ukazała się śliczna pani, ubrana w zielonej sukni, z złotemi trzewikami i z ciemnemi lokami. Cała rodzina stała osłupiała z podziwienia, gdy w tem wszyscy rzucili się do jej nóg, bo to była księżna Wiesława.

„Dzięki wam, poczciwi ludzie, za moje ocalenie", rzekła, podnosząc ich z dobrocią. „Lecz gdzież się podział poczciwy karzeł Łysalek, który mnie i syna mego utrzymał przy życiu? I gdzież mam szukać mego syna?

W tem zasztukało za piecem i ukazała się łysa głowa Łysalka. Powitał miłym uśmiechem wszystkich przytomnych, odwiązał kryształowy sznurek od wędki, owinął go Kazimierzowi około pasa, i wnet ukazał się tenże w swej właściwej postaci.

„Oto jest twój syn", rzekł, obracając się do Wiesławy. „Lecz teraz spieszmy się, bo czas nagli, a miecz sprawiedliwości wyciągniony już nad zbrodniarzami".

Radość Wiesławy z ujrzenia tak dawno straconego syna była nie do opisania, i Kazimierz nie posiadał się z uciechy. Płakał, śmiał się, całował ręce i nogi kochanej swej matki. Łzy rosiły oczy poczciwej rybaczej rodziny na ten widok, a Łysalek rzekł do rybaka: „Za twą wierną pomoc Korbalewiczu udaruje cię księżna Wiesława kilku pięknemi wioskami po nad Gopłem. Lecz przekonasz się wkrótce, jak ukarani zostaną bezbożni zdrajcy".

Rybakowi zostało zaledwie tyle czasu, by podziękować Wiesławie i Łysalkowi, bo ten wziął w usta koniec sznuru i tak silnie dął w niego, iż wkrótce rozszerzył się do grubości drzewa. W pośrodku sznura ukazały się duże ciemne kule, i dał się słyszeć łoskot podobny zupełnie do grzmotu. Wiele tysięcy pączków poleciało teraz do zamku Hardosza. Najprzód leciał ów ze złotemi skrzydełkami, które teraz podobne były do kolczastych skrzydeł nietoperza. Hardosz ujrzawszy tak dawno upragnione pączki, łapał je i pożerał chłapczywością. Naraz stanęła mu gęba otworem. Pączek ze skrzydłami kolczastemi wpadł mu w gardło i niegodziwy zdrajca padł nieżywy. Gdy bliżej przypatrywano się pączkowi, pokazało się, iż to była szpulka z kołowrotka księżnej Wiesławy, który ona zostawiła była niegdyś w wieży.

Księżna Wacławowa zaś chcąc sięgnąć po latające pączki, została niemi gdyby gradem kul zabitą.

Tak nie ominęła zdrajców zasłużona kara. Księżna Wiesława odebrała swe wydarte posiadłości, rządziła niemi jeszcze przez długie lata mądrze i sprawiedliwie, i wychowała Kazimierza tak dobrze, iż się stał zaszczytem i chwałą dla całego kraju.

OPACTWO CARROW

— PRZEZ —

J. F. SMITH

Z ANGIELSKIEGO.

CZĘSC PIERWSZA:

ZAMEK CARROW.

(Ciąg dalszy.)

— Radość twoja jest dostatecznem dziękczynieniem, — odpowiedział sir William.

— Marcinie, jesteś pewny, że ta klacz dosyć spokojna?

— O, najpewniejszy, sir Williamie, — odparł masztalerz z wyrazem zadowolenia, — dziecko dosiąść by ją mogło.

Uspokojony tą odpowiedzią, baronet pomógł siostrzenicy dostać się na siodło, i zaleciwszy jej kilkakrotnie, aby była ostrożną, dał znak do odjazdu.

Z początku klacz zachowywała się zupełnie odpowiednio twierdzeniu starego Marcina. Trudno było żądać łagodniejszego chodu; szła tak

spokojnie, że na prośbę Elleny, Marcin puścił uzdeczkę. Znajdowali się wówczas u wejścia zwierzyńca; widząc ich galopujących wzdłuż alei, staruszka pilnująca budki odźwiernego, mniemała, że chcą się przejechać przez wieś, i otworzyła bramę.

— Zamykajcie wrota! — zawołał Marcin z przestrachem, przypomniał sobie bowiem, że klacz nigdy jeszcze nie była za obrębem parku.

Za późnem było to ostrzeżenie. Przestraszony czy głosem dojeżdżacza, czy widokiem czerwonego płaszcza odźwiernej, koń szybko puścił się naprzód i w okamgnieniu minął bramę, a Marcin jak szalony za nim popędził.

— Boże odpuść mi! — pomyślał starzec, — smutny to będzie dzień dla sir Williama.

Rumak zaledwie znalazł się na obszernem błoniu, gdy rżąc z radości, biegł z wzrastającą szybkością; nie, żeby z urodzenia był uporczywy, ale że się ujrzał niejako wolnym na szerokiej płaszczyźnie, tak odmiennej od ponurych alei zwierzyńca.

Gdyby nie przerażenie, jakie wzbudziło niebezpieczeństwo Elleny, która trzymała się na siodle z taką przytomnością, że Marcin wśród swego przestrachu, podziwiał ją, piękny to był widok, jak szlachetne zwierzę skocznie biegało i przesadzało przez zarośla, z nozdrzami parskającemi i chwytającemi woń dzikiej trawy, podczas gdy ogon i grzywę wiatr rozwiewał.

— Koń się niezawodnie wkrótce zmęczy,— pomyślał masztalerz, — może się to szczęśliwie na strachu skończy.

Ale przygoda nie tak łatwo miała się skończyć, jak pragnął, bo wieśniak koszący trawę w pobliżu zjawił się nagle, chcąc pochwycić uzdeczkę. To przestraszyło konia, który nagle zwrócił się w lewo i jeszcze z większym pędem biedz zaczął, parskając z wściekłością.

— Mój Boże! — zawołał Marcin głosem największego przerażenia, — zwraca się ku dołowi, gdzie piasek kopią. Miss Elleno! na prawo... zgubiona!

Lejce wymykały się z drżącej ręki Marcina, a koń jego stanął jakby umyślnie na to, by mu dać czas przypatrzenia się scenie, której się tak lękał. W tej chwili, kiedy rumak Elleny zbliżał się do brzegu przepaści, kiedy skok jeden byłby zgubił oboje, młodzieniec jakiś wysunął się z za krzaków i stanął między klaczą a dołem piaskowym. Zwierzę przestraszone tym niespodziewanem widokiem, stanęło dęba tak, że omal się nie przewróciło. Młody człowiek oczekiwał sposobnej chwili, kiedy koń miał stanąć na przednie nogi, porwał uzdę lewą ręką, a prawą chwycił konia za nozdrza. Na próżno zwierz szamotał się i dęba stawał, młody pogromca trzymał go niby w kleszczach żelaznych.

— Zsuń się pani z siodła na ziemię! — zawołał do drżącej panienki.

Ellena zaledwo miała tyle siły i przytomności, by się wyplątać ze strzemion i skoczyć na ziemię, poczem zemdlała.

To wszystko tak szybko odbyło się w oczach Marcina, że mu się zdało jak sen jaki. Nareszcie przekonał się o ocaleniu swojej uczennicy; wydał krzyk niby modlitwę dziękczynną, spiął konia ostrogą, i spiesznie zwrócił się ku miejscu, gdzie się odbył wypadek. Skoro zeskoczyl z konia, najprzód rzucił się dla podniesienia Elleny, która ciągle jeszcze była bez pamięci.

— Zabiła się! — zawołał z rozpaczą.

— Nie, — odparł młodzieniec, pasujący się jeszcze z koniem nad brzegiem przepaści, — omdlała tylko.

Zaspokojony nieco temi słowy, masztalerz, złożywszy lekko na ziemię swój ciężar, wyjął chustkę z kieszeni i zawiązał nią oczy przestraszonej klaczy, która uspokoiła się natychmiast i przestała się szamotać, tylko wszystkie jej członki drgały jeszcze z wysilenia.

— No, — rzecze, — teraz możesz ją poprowadzić dalej, dziecko dałoby jej już radę.

Młody człowiek przekonał się o słuszności słów Marcina; klacz dała się już najspokojniej prowadzić. Oddał ją wieśniakowi, który kosił trawę, i przybiegł dla zobaczenia, czy może być w czem pomocnym.

Tymczasem Ellena zaczynała otwierać oczy.

— Nic mi się nie stało złego, Marcinie, — rzekła usiłując uśmiechnąć się, — najmniejszego zadraśnięcia nie mam; tylko się wstydzę żem tak lękliwa.

— Lękliwa! — zawołał masztalerz, — nie ma jeźdźca w całem hrabstwie, któryby się lepiej trzymał w siodle.

— Ale gdzie jest osoba, której zawdzięczam ocalenie?

Marcin pokazał jej młodzieńca stojącego na uboczu.

Ellena zbliżyła się doń i zaczęła mu dziękować; ale ten nie okazując zakłopotania ani nieśmiałości, zdjął kapelusz i przerywając:

— Daruj mi pani! — wyrzekł, — to ja winienem wdzięczność losowi, że mi dał sposobność wyświadczyć przysługę siostrzenicy sir Williama Mowbray.

— Dobrze się znalazł, — pomyślał w duchu stary Marcin, — zaczynam mniemać, że polubię tego zwinnego chłopca.

— Pozwoli pani, abym cię odprowadził do bramy zwierzyńca, — mówił dalej młody człowiek; — służący poprowadzi konia za nami.

Ellena spłoniła się niewiedząc sama dla czego. Nie było nic zuchwałego w tem żądaniu, i Ellena mogła bez wachania zgodzić się na nie; jednak się zastanowiła. Wybawca jej postrzegł to zmięszanie, i dodał tonem obrażonej dumy:

— Tylko do budki odźwiernego, miss de Vere, nie pozwoliłbym sobie towarzyszyć pani dalej...

— Nie zrozumiałeś mię pan! — zawołała z uczuciem wdzięczności panienka, a oczy jej zaszły łzami; — doprawdy, fałszywie pan sobie wytłumaczyłeś moje wachanie, o przyjęcie ofiarowanej grzeczności; pochodziło ono z obawy przestraszenia mojego drogiego wuja.

Oblicze młodzieńca rozjaśniło się znowu.

— Daruj mi pani, byłem niesprawiedliwy w mym sądzie o tobie.

— Ale pod pewnym warunkiem, — odpowiedziała młoda dziewczyna z uśmiechem.

— Pod jakim warunkiem, pani?

— Zamiast odprowadzić mnie do wrót zwierzyńca, odprowadzisz mnie pan do zamku. Nie zdolną jestem wyrazić panu mej wdzięczności, jakbym powinna to uczynić. W wuju mym znajdę wymowniejszego tłumacza. Czy wolno mi zapytać, — dodała podnosząc pierwszy raz wzrok na niego, — o nazwisko mego wybawiciela?

Zapłoniony i z niejakiem wachaniem, które nie uszło baczności miss Elleny, odparł:

— Nazywam się Henry Ashton.

Jednak młody człowiek nie miał powodu rumienić się, ani wachać...

Henry Ashton był przyjęty za syna w dziecinnym jeszcze wieku, przez swego stryja, z najbogatszych dzierżawców włości Carrow, czyli raczej został narzuconym opiece tego poczciwego człowieka przez jego brata, który od dawna przetrwonił był w rozpuście i nierządnem życiu przypadłą na siebie cząstkę ojcowizny. Szczęściem dla opuszczonego chłopczyny, stryj nie miał własnych dzieci. Przyjąwszy zrazu przez litość biedne dziecię, zacny dzierżawca, i żona jego, wkrótce polubili je co raz więcej, i nim jeszcze mały Henry rok przepędził pod ich gościnnym dachem, już tak się doń serdecznie przywiązali, że byliby poczytali sobie za największe nieszczęście, gdyby go ojciec zamierzył odebrać. Ale nie mieli powodu lękać się tego upominania ze strony ojca, który od chwili, kiedy im oddał w opiekę dziecię, aż do czasu zaczęcia naszej opowieści, ani razu nie zgłosił się do braterstwa.

Od lat najmłodszych, Harry, jak go zwykle stryjanka wołała, okazywał wielką stałość charakteru i wytrwałość niezwyczajną młodemu wiekowi. Chociaż tkliwy z natury, kochał bowiem swoich przybranych rodziców, jakby rodzonych, jednak powiedziawszy raz: — Chcę! — zostawał wierny swemu słowu, chociażby nawet za to karę miał ponieść jaką. Stryj i stryjenka tak się w końcu przyzwyczaili do tej dziwności dziecka, że skoro bratanek raz wyrzekł to słowo stanowcze: — Ja tak chcę! — nie opierali się już jego woli, nie próbowali nawet sprzeciwiać się, wiedząc, że to byłoby daremnem usiłowaniem.

Wszelako musimy oddać słuszność Henrykowi; rzadko się zdarzyło, aby wyrzekł to słowo w brew życzeniom stryjostwa.

Prawdopodobnem jest bardzo, że gdyby nie ta dziwaczność usposobienia, nie byłby otrzymał innego wykształcenia nad to, jakie mu dać mogła szkółka wiejska. W tym czasie jego upór niepokonany, wielką mu korzyść przyniósł; była to najpierwsza okoliczność ważna w jego życiu, w której mu silna wola istotną wyrządziła przysługę.

Gdy mały Henry dochodził lat jedenastu, bawił się dnia pewnego z synami innych dzierżawców i szlachty okolicznej, grą w piłkę; w tem powstała sprzeczka względem rzutu piłki: jedni utrzywali, że źle była rzucona, drudzy twierdzili przeciwnie.

— Piłka źle była rzucona, — rzekł syn Piotra Impey, rzecznika miejscowego, — i musicie mi wierzyć, kiedy ja tak utrzymuję.

— A to dla czego? — zapytał nasz malec.

— Bo jestem gentleman.

— A jaż nim nie jestem? — zapytał śmiało Henry Ashton.

— Nie, — odpowiedział młody chełpliwiec, — ty chodzisz do wiejskiej szkółki, a mnie posyłają do konwiktu; ty umiesz tylko czytać i pisać, a ja umiem po łacinie i po grecku.

— To łacina i greka robią cię gentlemanem?

— Niezawodnie.

— A więc i ja chcę się także tego nauczyć.

— To rzecz niepodobna, — odrzekł z tryumfującą miną młody Impey. — Oprócz rektora, Master Orine, nie ma nikogo we wsi, coby mógł cię tego nauczyć, a on uczniów nie przyjmuje, bo jest i bez tego majętny. Mój tatko chciał, aby mnie przyjął do nauki, ale rektor odmówił.

— Boś mu się może nie podobał? — rzekł Henry.

— Pewny jestem, że ty mu się również nie spodobasz, — odrzekł syn rzecznika. — Tatko mówił, że on nic nie lubi, oprócz bekasów.

— Bekasy lubi! — zawołał bratanek dzierżawcy, — tedy wiem z pewnością, że mnie zechce uczyć po grecku i po łacinie!

I nie czekając końca gry, chłopczyna odszedł zamyślony.

— A tobie co się stało, ojcze? — zapytała pani Ashton swojego męża wchodzącego w złym humorze na wieczerzę. — Może się krowy pochorowały?

— Nie, to znowu ten malec.

— Harry!

— Nie inaczej; chce się uczyć po grecku i po łacinie; powiada, że koniecznie chce, i żąda, abym mówił z plebanem.

Gdyby dzierżawca nie był zapewnił żonę, iż synowiec wyrzekł słowa stanowczo wolę jego potwierdzające, byłaby może usiłowała odwieść go od tego, ale znając bezużyteczność tej próby, myślała tylko o zaspokojeniu życzenia chłopaka.

— Istotnie, mój mężu, nie widzę przyczyny, dla której nasz Harry nie miałby się uczyć po grecku i po łacinie, kiedy ma ochotę. Syn pana Willis uczy się przecie na skrzypcach, a my również mamy środki pieniężne dostateczne na ten wydatek. Zresztą, to nas może rozerwać w czasie samotnych wieczorów.

— Bardzo być może, — odparł Maciej Ashton, — chociaż nie wiem dokładnie, co to jest za greczyzna; lecz nie musi to być nic złego, kiedy się pleban tego uczył. Jeżeli już chce koniecznie, to niech się uczy; ale pewno nie ja wspomnę o tem plebanowi.

Mistress Ashton zachowała milczenie, a to z powodu, że nie chciała stanowczo wynurzyć swojego zdania w tej mierze, pókiby nie wypytała się swojego synowca, i nie zasięgnęła od niego objaśnienia, co to jest za greczyzna tajemnicza, której tak nagle zapragnął się uczyć.

Nazajutrz raniutko, o trzeciej godzinie, Henry Ashton i pierwszy jego minister i poufnik, Joe Beans, parobczak od pługa, o trzy lata starszy od niego, wymknęli się z folwarku, zabrawszy z sobą strzelbę gospodarza. Była to jeszcze zawczesna pora na zwierzynę, ale jeżeliby się zdarzyła sposobność ubić parę bekasów, Joe i Henry wiedzieli, gdzie ich poszukać.

— Wątpię, czy nam się uda co ułowić, — rzekł Joe ziewając szeroko.

— Trzeba nam koniecznie poszukać, — odparł mały Ashton.

— Jeszcze zawcześnie polować na bekasy.

— Kto wie, może już będą.

Nałaziwszy się po błotach aż do świtu, nasi młodzi myśliwi zostali w końcu wynagrodzeni za swoją wytrwałość, ubiwszy parę bekasów, pierwszych w tym roku. Z zwycięzką miną wracali z tej wyprawy, i przybyli do domu, nim się domownicy obudzili. Odnieśli strzelbę na dawne miejsce, Harry cichutko wśliznął się do łóżka, Joe udał się do swojej roboty w pole.

Gust zacnego rektora, pana Orine, do bekasów nie był czczą pogłoską. Jak większa część starych kawalerów, był trochę smakoszem. Kiedy więc Henry Ashton, ubrany w świąteczne suknie, z ptaszkami do plebanii przyszedł, został nader łaskawie przyjęty.

— O, już są bekasy? — zawołał rektor.

— O, ja wiedziałem, gdzie ich szukać.

— Toś ty je umyślnie dla mnie zastrzelił, dla mnie?

— Istotnie! syn rzecznika Jmpey powiedział, że je pan bardzo lubisz.

— Poczciwy chłopcze! — rzekł pleban klepiąc go po głowie; piękna twarzyczka dzieciaka i przyzwoite zachowanie się jego w kościele, dawno już wpadło było w oko duchownego.

Potem wyjmując talara z kieszeni, podał go chłopczynie.

— Dziękuję panu, — rzekł zarumieniony malec, — ja nie za pieniądze przyniosłem panu ptaszki.

— A za cóż? — spytał duchowny, widocznie zajęty młodym strzelcem.

— Dla tego, abyś mnie pan chciał nauczyć po łacinie i po grecku.

— Patrzcie, i po grecku! — zawołał rektor z zadziwieniem! — nie wiesz, mój przyjacielu, czego żądasz: wszak to długie lata nauki...

— To nic nie szkodzi.

— Trzeba na to poświęcić kilka godzin dziennie.

— Ja mam dosyć czasu.

— Znudzisz się wkrótce.

— Wystaw mnie pan na próbę.

— Dobrze więc! mój paniczu, — rzecze pastor zdumiony uporem dziecka, — sprobujemy, ale pod pewnym warunkiem.

— Chcesz pan więcej bekasów? — zapytał ciekawie Henry, — wszystko, co mi się uda upolować, przyniosę panu.

— Nie! — odparł doktor Orine z uśmiechem, — ja nie żądam bekasów. Warunek mój taki: będziesz przychodził do mnie co rano a ja będę cię uczył; ale pamiętaj, że nasza ugoda będzie zerwaną w dniu, kiedy opuścisz lekcyę zaniedbując przyjść.

— O, ten dzień nie nadejdzie nigdy! — zawołał z radością chłopczyna.

I w rzeczy samej, codziennie, nawet w czasie największych mrozów w zimie, odważny chłopiec szedł wśród śniegu z folwarku aż na pastorstwo. Godzina, którą mu rektor przeznaczył, przeciągała się na dwie lub trzy. Jednego dnia postrzegł rektor, że jego uczeń był blady i z ciężkością oddychał.

— Tyś chory, Henry? — rzekł do niego.

— To nic nie znaczy, — odpowiedział chłopczyk, usiłując uśmiechnąć się.

— Nie należało wychodzić dzisiaj z domu.

— Aby zerwać ugodę naszą! Kiedyś pan tyle dla mnie łaskaw, że mi czas swój poświęcasz, byłbym niewdzięczny, nie korzystając z tego.

Owego dnia, z podziwem całej wioski, mały Henry został odesłany do domu powozem rektora, który nazajutrz przyjechał odwiedzieć go. Pojętność chłopca i serdeczne obejście, zjednało mu z czasem przychylność plebana, i nim jeszcze rok upłynął, Henry był na probostwie tak mile widziany, jak w domu przybranych rodziców. To nie bardzo się podobało jego stryjostwu, którzy za nim tęsknili w jego nieobecności, i często żałowali, że bratankowi tak gwałtem zachciało się uczyć po grecku.

— Byłbym wolał nierównie, — mawiał poczciwy dzierżawca, — gdyby sobie obrał skrzypce!

Tak stały rzeczy aż do chwili, kiedy zaszedł przypadek na początku tego rozdziału wymieniony. Rektor polubił swego wychowańca, jak własnego syna; a młodzian nawzajem odwdzięczał mu się tem synowskiem przywiązaniem i czcią nieograniczoną, które równie miłe są dla starca, jak zalecające wiek młody.

Doktor Orine czuł się uszczęśliwionym; usposobienie młodego Henryka czyniło umysł i serce jego pochopnemi do przyjęcia najzbawienniejszych wpływów; dobre chęci rektora nie padły na grunt nieurodzajny.

III.

Pierwszą osobą, którą Ellena i jej wybawca spotkali wchodząc do zwierzyńca, był baronet. Stara odźwierna pobiegła do zamku, aby dać znać sir Williamowi, że koń uniósł miss de Vere, a wuj jej wyszedł spiesznie, w stanie przerażenia, które łatwiej sobie wyobrazić niż opisać można.

W przeciągu tego krótkiego czasu od przybycia młodej sieroty pod dach jego, baronet odzyskał niejaką cząstkę tego szczęścia, którego od lat wielu był pozbawionym i miał przy sobie jakąś istotę, którą mógł kochać. Nie wiedział jeszcze, jak dalece Ellena potrzebną była do jego istnienia, aż obawa utracenia jej, pozwoliła mu to ocenić.

— Wuju! najdroższy wuju! — zawołała rzucając się w jego objęcia i pokrywając pocałunkami jego wybladłe lica, — otom ocalona, jak widzisz... dzięki temu gentlemanowi, którego odwadze i przytomności umysłu winnam zachowanie życia!

Sir Mowbray, mimo osowiałości swojej, która mu nie była wrodzoną, ale tylko wynikała wskutek bolesnych przygód życia, dziękował serdecznie młodzieńcowi, i zapytał go jak się nazywa.

— Henry Ashton, — odpowiedział tenże z ukłonem pełnym uszanowania.

— Ashton, — Ashton, — powtórzył ba-

ronet, — z pewnością nie pierwszy raz słyszę to nazwisko.

Stary Marcin szepnął mu do ucha, że tak się nazywa dzierżawca folwarku Home-Farm.

— Aha! prawda, i jeżeli się nie mylę, to pan jesteś tym młodym człowiekiem, którego mój przyjaciel, doktor Orine, tak mocno polubił?

— To mój dobroczyńca! mój mistrz! mój przyjaciel! Ja mu wiele zawdzięczam!

Baronet był bardzo ujęty tem okazaniem wdzięczności względem rektora.

— Często rozmawiał ze mną o panu, — odrzekł na to, — i łatwo pojmuję, że zasługujesz na jego pochwały.

— Tak dobre mniemanie ze strony sir Williama Mowbray! lękam się, by mnie istotnie nie wbiło w dumę, — rzekł z uśmiechem Henry Ashton.

— A to pochlebca!

Zaledwie te słowa wyszły z ust baroneta, zmieniła się twarz młodego człowieka; duma jego była obrażoną. zdawało mu się, że go źle zrozumiano.

— Sir Williamie, — rzekł z uszanowaniem,— dla czegoż miałbym panu pochlebiać? Oto widzimy się po raz pierwszy i bez wątpienia ostatni; pan obrałeś sobie życie w zaciszu, odpowiednie twojemu stanowisku i znacznemu majątkowi, moje upływać będzie w zgiełku i walki ze światem; muszę dopiero utworzyć sobie imię, nabyć stanowisko i cel życia.

— Może bym mógł dopomódz ci do tego? — zapytał samotnik, którego zachwycił ton i obejście, jakimby się może człowiek nie tak przenikliwy, łatwo był obraził.

— Czy pan byłbyś gotowym to uczynić? — odparł Henry Ashton. — Chciej mi wybaczyć, sir Williamie, i nie poczytuj za niewdzięczność, że nie przyjmę tej ofiary, ale oddawna postanowiłem sam być twórcą mojego losu.

— Czemże zamyślasz pozostać?

— Jeszczem się nad tem stanowczo nie namyślał; mam jeszcze rok czasu przed sobą. Nim się jednak rozstaniemy, pozwól pan, abym się oczyścił z zarzutu pochlebstwa. Będąc w codziennych stosunkach z rektorem, trudno mi nie wiedzieć, że sir William Mowbray jest mężem szlachetnym, którego serce, choć zamknięte dla świata, otwartem jest na współczucie potrzeb i cierpień ludzkości. Od dwóch lat przeszło bywam często pośrednikiem w rozdzielaniu jego licznych i hojnych jałmużn; byłem świadkiem niejednokrotnie, gdy jego miłosierne wsparcie wyrwało z nędzy starców bezsilnych; słyszałem wdowy i sieroty błogosławiących jego imię. Możnaż się dziwić, że moje serce tchnie szacunkiem i poważaniem dla niego?

Wyraz powagi, z jakim młodzian tych słów domawiał, silne wrażenie wywarł na umysł Elleny. To oddanie sprawiedliwości cichym i tajemnym zaletom jej wuja, więcej ją jeszcze ujęło dla młodego człowieka, niż przysługa, której przed chwilą ocalenie życia zawdzięczała.

— Masz pan zupełną słuszność, — rzekła biorąc i przyciskając do serca rękę wuja, — ja przynajmniej jestem tego przekonania, że pan nie jesteś pochlebcą.

— A więc jest zapaleńcem, — dorzucił sir William z uśmiechem, — co jest jeszcze niebezpieczniejszą rzeczą. Zapaleniec chwyta za serce, gdy pochlebca tylko głowę zawrócić może. Kochany panie, — dodał tym głosem poważnym i śpiewnym, który więcej niż słowa same przenika do głębi i przekonywa, że z głębi serca pochodzi, — nie trzeba, aby to postanowienie, chociaż szlachetne samo przez się, stało się kiedyś uciążliwem wskutek przywiedzenia go do ostateczności.

— Nie rozumiem, co pan chcesz powiedzieć, sir Williamie?

— Jeżeli nie chcesz mnie przyjąć za opiekuna, — odpowiedział baronet życzliwie, — możesz mnie uważać jako przyjaciela.

I podał rękę młodzianowi, który wiedziony jakiemś natchnieniem niepojętem, przycisnął ją do ust.

Baronet nie chciał zezwolić, aby młody Ashton ich pożegnał, nalegając, aby z nimi wszedł do zamczyska. Pierwszy to raz od wielu lat znajdował przyjemność w rozmowie z obcym człowiekiem.

Na domiar zdziwienia domowników, baronet zaprosił na obiad bratanka swojego dzierżawcy. Ten z początku usiłował wymówić się od przyjęcia tego zaszczytu, ale spojrzenie Elleny skłoniło go do pozostania. Młoda dziewica spostrzegła, iż wuj znajduje przyjemność w towarzystwie młodziana; dla tego pragnęła, aby pozostał.

Biedna Ellena nie domyślała się wcale, ile to spojrzenie spustoszenia sprawi!

Podczas kiedy Henry Ashton filozofował z wujem, a z oczu młodej dziewicy poił się słodką trucizną budzącej się miłości, w izbie klucznicy nieskończone wnioski robiono z powodu wejścia młodego gościa do samotnego zamku. Piwniczy Nicholls, zacierając ręce, przepowiadał, że mu wkrótce dadzą do odczyszczenia starożytne srebra familijne, leżące od tak dawna bez użytku w skarbcu zamkowym.

Mistress Jarmy w swej wyobraźni urządzała bawialnię, myśląc, jakiemi ją sprzętami przystroić.

Stangret kupował już pyszną nową karetę.

Wszyscy, oprócz starego Marcina, łączyli głosy swoje w wychwalaniu młodzieńca, który ocalił życie miss Ellenie, i oświadczyli, że wart jest względów, jakiemi go sir William Mowbray zaszczycić raczył.

— To dzielny chłopak! — mówiła klucznica, — i skoro mi się zdarzy pora, muszę pójść do dworku Home-Farm, aby powiedzieć ciotce, ile mu sprzyjam.

— To zuchwały smarkacz! — mruczał stary masztalerz. — Z początku miałem pociąg do niego; ale mi się wcale nie podobało, że takie robił korowody, nim przyjął zaproszenie naszego pana, jakby był królewskim synem, a przecież to tylko bratanek jednego z dzierżawców.

— Uwagi twoje są niesprawiedliwe, — powie na to piwniczy. — Sam słyszałem, jak mówił przy obiedzie, że stara Małgorzata otwarciem bramy, wychodzącej na błonie, spowodowała głównie to, że koń zaczął unosić miss de Vere, i że ty wcale temu nie winien, bo klacz byłaby się spokojnie zachowała w parku; ale nie będąc nigdy przedtem na otwartem polu, bardzo łatwo musiała się spłoszyć, ujrzawszy się w obcem miejscu! jak wspominał o twej troskliwości dla naszej panienki, zapewniając, żeś płakał jak dziecko — mógłbym porównać raczej, jak krokodyl — na widok jej niebezpieczeństwa! nareszcie, jak wystawiał twoją przytomność umysłu, kiedy zawiązałeś oczy koniowi! Gniewasz mnie doprawdy, ty niewdzięczniku... zawsze z ciebie był i zostanie stary zrzęda!

— To prawda, — odparł Marcin wstając i wychodząc z izby, aby się udać do stajni, zwykłego swego schronienia, ile razy był niekontent z siebie lub z drugich; — to prawda, żem stary i nudny zrzęda, jak powiadacie, ale djabeł nie taki czarny jak go malują, i pomimo tego nie mam ja złego serca.

Od tej chwili Henry Ashton nie miał w nikim tak gorliwego przyjaciela, jak w Dick Marcinie.

Już była dziesiąta godzina, gdy wybawca miss Elleny opuścił zamczysko.

Pierwszy raz w życiu uczuł, że w jego sercu jest miejsce na inne uczucia miłości prócz tych spokojnych, które dotąd piastował i które mu wystarczały dotychczas. Idąc szybko ulicą darniami wysadzaną, która wiodła ku budce stróża, mniemał, że ciągle jeszcze słyszy dźwięk głosu Elleny, widział jeszcze jej uśmiech, jej twarz, każde jej spojrzenie, każdy wyraz był głęboko wyryty w jego pamięci.

— Jakim gburem musiałem się wydać w jej oczach! jakim nieokrzesanym prostakiem!... Jednak tak uprzejmie ze mną mówiła... To przez wdzięczność!... Szalony jestem, że ciągle o niej myślę, przecież, gdyby traf uczynił mnie był jej równym! pragnąłbym... Ba! brednie!— dodał przyspieszając kroku, jakby usiłował tym sposobem uciec przed wybrykami własnej wyobraźni, — na cóż się przyda pragnąć, gdy nam los środków ku temu odmówił?...

IV.

Niezwłocznie po oddaleniu się Henryka Ashton, miss Vere uściskała swojego wuja, życząc mu dobrej nocy, i udała się do swoich apartamentów. Ayah i mistress Jarmy towarzyszyły jej. W błyszczących oczach i zaciśniętych ustach Zary, odgadywała miss Ellena jakieś niezadowolenie, ale wstrzymała się na teraz od wszelkich pytań w tym względzie, nie chcąc, aby zacna ochmistrzyni domu była świadkiem gwałtowności i złego humoru jej wiernej mamki.

Pokój Elleny położony był we wschodniem skrzydle zamku. W głębi obszernej alkowy, stało pod baldachimem łóżko z firankami i kapą z aksamitu szkarłatnego; ta ostatnia była haftowaną w herby rodziny Mowbray. Krzesła o wysokich poręczach i sofy, były pokryte takąż samą materyą, nieco przez czas wypłowiałą. Gotowalnia przystrojoną była okryciem z koronek. Zwierciadło zajmujące środek tejże, otoczone było ramami z starożytnej porcelany saskiej, a świeczniki i różne przybory toaletowe z takiej samej były porcelany.

Skoro weszły do sypialni, ayah rzuciła się na siedzenie z poduszek ze sof pozdejmowanych

i na sposób wschodni ułożone. Jak większa część ich ziomków, nienawidziła krzeseł, nie będąc do nich w swojej ojczyźnie przyzwyczajoną.

Grupa tych trzech osób, znajdujących się w tej chwili razem, mogła zajmujący podać wzór biegłemu artyście. Trudno wyobrazić sobie coś bardziej malowniczego, jak strój Zary, składający się z sukni fałdzistej, zrobionej z szalu indyjskiego w najświetniejszych barwach; smagłe jej ramiona, ozdobione były naramiennikami złotemi i sznurami wielkich pereł; opięty stanik z kaszmiru sięgający po szyję, odznaczał jej wytworną kibić, wyszyty nićmi złotemi i jedwabnemi w różnych kolorach. Najzręczniejsza modniarka nie umiałaby opisać ubrania jej głowy. Składało się z ogromnego kawałka muszlinu, zarzuconego haftem w chrząszczyki, złożonego w czworobok na głowie ułożony, spięty nad szyją w rodzaju obrączki z filigranu, misternie wyrobionej ze złota, a końce tegoż muszlinu spadały na plecy i tworzyły niby welon osłaniający jej postać. Ellena siedziała na jednym z krzeseł olbrzymich, ustawionych po obu stronach gotowalni. Sędziwa mistress Jarmy odpięła wstążkę utrzymującą włosy miss Elleny, a bujne ich sploty czarne, roztaczające się swobodnie, osłoniły niby płaszczem białe ramiona dziewicy. Twarz jej była blada i zamyślona, jednak chwilami uśmiechała się do siedzącej naprzeciw niej Zary, która kołysząc się w prawą i lewą stronę, mruczała półgłosem jakąś zwrotkę z hindustańskiej piosenki.

— Co za przecudne włosy masz, miss Elleno! — rzekła klucznica, upinając je na noc — zupełnie takie połyskujące, jakie miała lady Margarita, prababka twoja, której portret tu wisi na ścianie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

NOWY PRZYMIOT KAWY.

Mimo olbrzymiego rozpowszechnienia kawy dotychczas nie zbadano gruntownie wszystkich jej właściwości co do oddziaływania na organizm ludzki. Wprawdzie znany jest błogi skutek filiżaneczki „czarnej", która rozgrzewa żołądek i całe ciało; wiadomo też, ż zimna kawa w lecie jest najlepszym chłodnikiem, zaspokajającym największe pragnienie bez zbytniego przeciążenia żołądka. Atoli teraz dopiero odkryto, że kawa jest wybornym środkiem antyseptycznym, tj. zapobiegającym rozkładowi i zgniliźnie, a więc doskonałym do obwiązywania miejsc zranionych ciała ludzkiego. Niezaprzeczenie doniosłe to odkrycie zrobił dr. Oppler, starszy lekarz sztabowy w Strassburgu. Twierdzi on, że kawa sproszkowana, czyli dokładnie zmielona, jest doskonałym środkiem do obwiązywania ran, odpowiadającym wszelkim wymogom nowoczesnej chirurgii. Zarządzone doświadczenia nie są jeszcze ukończone, z dotychczasowego ich przebiegu wnosić jednak można, że mielona kawa wprowadzona w styczność z raną, zapobiega rozkładowi tkanek i krwi. Tę antyseptyczną własność swoją zawdzięcza kawa najprzód temu, iż pojawia się tutaj w formie węgla roślinnego, a antyseptyczne działanie węgla znane jest już oddawna, a następnie produktom aromatycznym, powstającym przy paleniu. Zastósowanie chirurgiczne kawy jest bardzo proste. Kawę miałką sypie się na ranę, nie więcej jak na 3 milim. wysokości, i obwiązuje. Tworzy się wskutek tego twarda pokrywa na ranie, która zabezpiecza ją od wszelkiego zanieczyszczenia i wpływów zewnętrznych. Odkrycie to ma tak dla życia obozowego jak i w zastosowaniu do codziennych wypadków bardzo doniosłe znaczenie.

Z ŻYCIA ZWIERZĘCEGO.

Władze umysłowe ptaków rozwijają się stopniowo, jak to widać z małej zmyślności młodych piskląt. Wszakże młode ptaki nadzwyczaj wcześnie uczą się unikać niebezpieczeństwa. — Władza naśladowcza, jakkolwiek silna w ptakach, ogranicza się jednak na samym tylko głosie. Wiele zwyczajnych ptaków naśladuje dźwięk głosu innych gatunków, czem szczególniej odznacza się familia drozdów. — Papugi znowu, jakkolwiek w niewoli, łatwo się uczą naśladować głosy obce, żyjące wszakże na wolności, nigdy nie naśladują głosu innych ptaków. — Nawet odlot ptaków nie jest wypływem ślepego instynktu, widocznem jest, że postanowienie to wykonywują po poprzedniej rozwadze.

Z tego wszystkiego, widoczną jest rzeczą, że ptaki rozwijają w sobie uczucia rozmaitego charakteru i objawiają je za pomocą odpowiednich dźwięków głosu i gestów, a jakkolwiek pewne władze umysłowe są w nich po większej części instynktowe, dają jednak ptaki jednocześnie wskazówki rozumu w wielu przypadkach. Dla tego możemy przyjąć, że jakkolwiek władze umysłowe ptaków są w ogóle niższe od władz umysłowych zwierząt czworonożnych, wykazują jak postępowy rozwój ich klasy jest zależny od rozwoju ich organizmu; a jak budowa ciała zmienia się i stosuje do dobrobytu gatunku, tak z drugiej strony instynkta i inne władze umysłowe podlegają rozwojowi i modyfikacyi.